

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV

Warszawa, 11 kwietnia 1948 r.

Nr 15 (124)

TREŚĆ NUMERU: Elementy ekstazy kontynentalnej. K. R. Gawor — Zainteresowania i spleen. W. Majdański — Niezwykła okazja. W. Pietrzak — O nienasyceń. Kłopoty zębującego literata. J. Meysztowicz — Potomek Sokolego Oka. Wędrówki po scenach polskich. J. J. Szczepański — Przyczynki do Sprawy Wolfa. Czytelnik uważa że...

Jan Papini

## LIST PAPIEŻA CELESTYNA VI DO HISTORYKÓW

Bracia moi,  
Siostry moje!

W AS również wezwać muszę do obrachunku, którego żąda Bóg w tych gorzkich czasach zapadającej nocy.

Odegraliście swą rolę przy zartowaniu umysłów, musicie więc wziąć udział w ich uzdrowieniu. Nie możecie ocalić się mówiąc: my prowadzimy jedynie rejestr i protokoły ludzkiego życia, a jeśli ludzie grzeszą, nie pozostaje nam nic innego — jedynie z neutralną uczciwością inwentaryzować ich błędy, ukazując przyczyny i skutki.

Ta obrona jest tak marna, że po twierdza tylko waszą winę.

Historia, jak ją pojmujecie i opisujecie, usprawiedliwia wszystko, co się dzieje. Usprawiedliwia zwycięzcę i zwyciężonego, zabójcę i zabitego, kata i męczennika. W istocie nieusprawiedliwia niczego i nikogo, ponieważ jest na świecie prawo przez was negowane i zapomniane: wasza neutralność sprowadza się do udziału po stronie Arymana.

Nazywacie swoją metodę „historyzmem”, ale właściwa jej nazwa to „Piłatyizm”. To, co czynicie, jest umywaniem rąk w obliczu skazanych; oczyszczacie siebie, jeden drugiego, prawdziwie zadowolony, brudną i zakrwawioną wodą waszych balii. Ale ręce wasze na przekór tylokrotnym obmywaniom nie są nigdy białe, boć jako ludzie nie możecie się oczyścić z czerwonych płam ludzkiej odpowiedzialności.

I to jest wasz pierwszy grzech, ale nie najpoważniejszy. Macie pretensje do zrozumienia z beznamietną jasnością drogi ludów, w rzeczywistości jednak nie potrafiliście nie tylko zrozumieć, ale nawet umożliwić zrozumienie ich innym, boście usunęli i zaprzeczili stosunek między człowiekiem a Bogiem.

Wypędziliście Boga z historii i dlatego nie możecie nawet pojąć historii człowieka, gdyż dzieje ludzkie są tylko epizodem, rozdziałem, odbiciem historii Boga. Dzieje ludzkie są dziejami Boga w człowieku, odkąd Bóg zstąpił na ziemię poprzez człowieka przez Siebie stworzonego, na obraz Swój i podobieństwo i przez Odkupienie przywróconego temu podobieństwu. Jest jedyna historia rozumiała do głębi: — ta, która ma początek i koniec. Dzieje ludzkie dla tych, którzy umieją odgadnąć w nas pierwiastek Boski, są tylko podrózą, od chwili rozłączenia z Bogiem, aż do powrotu do Niego. Dlatego też prawdziwa historia godna tej nazwy, pisana jest z natchnienia bożego i zaczyna się Genesą, a kończy

Apokalipsą. Otwierajcie szeroko i oczy i usta, ale to jest prawdą.

Nie potraficie zrozumieć człowieka zanim nie ujrzycie go w jego postawie wobec Boga. Człowiek nie jest sierotą i nie możecie badać słabości jego rodziny nie zdając sobie sprawy kim jest Bóg, Ojciec wszystkich.

„Każda historia jest historią świętą” — nie ja to mówię, ale protestant Hamann. „Każda historia jest Ewangelią” — nie ja to mówię, lecz idealista Novalis. Jeśli nie przyswoicie sobie tych pewników, będziecie musieli zadowolić się z musu szyderczą definicją Shakespeare'a: „Życie jest powieścią, opowiadana przez idiotę, która nie ma końca”. I czynicie istotnie byłoby dzieje ludzkie nie oświecone i nie przypieczone prawem boskim, jak nie długim odrętwieniem szaleńca, przerywanym często nagłymi napadami furii?

HISTORIA mieszkańców ziemi jest tylko odbiciem i tłumaczeniem historii transcendentalnej i nadnaturalnej. Jest odbiciem życia całkiem różnych protagonistów: Chrystusa, który konać będzie, aż do skończenia świata; Lucyfera, który złość swą rozsiewa, aż po dzień, w którym miłość nasza ugasi jego nienawiść. Tyle razy za stanawiacie się jak opisać koleje bitew, a nigdy nie zwrócić uwagi, że przeciwnicy pozornie przeciwstawni, są w tajemniczy sposób związani, sprzymierzeni ze Złem w wojnie ślepych przeciwko światłu bożemu.

Żeby pojąć historię w pełni, powinniście być — „prorokami przeszłości”, a jesteście w istocie przewodnikami po cmentarzach.

Jesteście, niestety, kolekcjonerami kamieni mogiłnych, archiwistami nagrobków, badaczami etykietek, buchalterami chronologii, kronikarzami jednorazowych zjawisk. A powinniście zdzierać zasłony i

rozwiązywać tajemnice. Wy jednak zadowalacie się kolekcjonowaniem śmieci, pergaminów, pomiarami pyłu ziemskiego, balsamowaniem ukoronowanych zwłok.

Kiedy ludzicie się, że przedstawiacie poważnie historię początków i powiązań, ukazujecie tylko lepiej ubóstwo swej wyobraźni, krótkowzroczność, ospałość intuicji, upadek ambicji. Nie możecie stworzyć prawdziwej historii, ponieważ brakuje wam tego światła, które płynie z góry. Macie przed oczami fakty, a nie umiecie dostrzec tajemniczych związków, najwyższych znaków, praw uniwersalnych, które nimi rządzą. Nie rozumiecie dotąd, że historia jednego narodu, w oderwaniu od innych, jest niezrozumiała, że historia jednego wieku odzielona od innych nie ma żadnego sensu. Prawdziwą może być tylko historia powszechna.

Starożytni historycy uznawali przynajmniej Łos, który górował nad wypadkami ludzkimi, dostrzegali w historii narodziny bohaterów, czcili ją, jako *magistra vitae* — nauczycielkę życia. Ale wy nie dostrzegacie innych źródeł ludzkich kolei jak tylko głód żołądka, pragnienia zmysłów, odruchy namiętności w starciu interesów i ambicji. Widzicie w człowieku nędzne zwierzę, pełne strachu przed śmiercią i pełne instynktu mordowania.

Prawda, tak w rzeczywistości wygląda człowiek w oderwaniu od Boga. Wy negujecie nawet wyższość i cnoty decydujących bohaterów historii. Nie spostrzegacie, że historia jest przeprawą przez morza i wymaga śmiałych sterników; jest tragedią, która bardziej wymaga protagonistów, niż koryfeusz, jest poematem, który się rozwija wokół sztandarów bohaterów.

KPICIE ze starożytnej wiary w historię, jako nauczycielkę życia. I po prawdzie — ona jest nauczycielką śmierci raczej, niż życia,

gdyż uczy, jak trzeba nam umierać, by osiągnąć to, co się nazywa życiem wiecznym w Bycie. Ze słynnego określenia Marka Tuliusza wzięliście tylko dwa słowa, pozostałe nie zdają się wam godne przywołania.

„Historia, pisze Ciceron — ... jest świadectwem czasów, światłem prawdy, życiem pamięci, nauczycielką życia, posłanką dawności”. Wyśmiewacie „nauczycielkę życia”, czemuż więc nie zatrzymać się przy najmniej przy „świecie prawdy”? Starożytny mówca mógł pojmować te słowa w dosłownym ludzkim znaczeniu — chociaż i tego nie jesteście pewni — ale my wiemy, że człowiek nie jest w pełni posiadaczem światła prawdy. Może zstąpić nań tylko światło Objawienia.

Otóż powiadam wam, historycy, że historia może być objawieniem, to znaczy światłem prawdy. Podobnie jak trzy osoby istnieją w jednym Bogu, tak samo istnieją trzy objawienia na ziemi. Pierwszym jest objawienie wszechświata — dzieło Stworzyciela, drugim Pismo Święte, dane nam przez Ducha Świętego, a trzecim jest historia, która jest przeobrażeniem i przedłużeniem Boga-Człowieka w bólu Człowieczym.

Z pierwszego objawienia uczeni odcyfrowali tylko kilka wersetów, drugie jest naszym codziennym pożywieniem od wieków, z trzeciego przeglądają zaledwie pierwsze sylaby, jakby z listu czytane przy słabym świetle gwiazd. Jeżeli nie zdecydujecie się traktować historii jako objawienia, nie potraficie odkryć nigdy prawdziwej drogi i prawdziwego przeznaczenia rodzaju ludzkiego. Najwyższe gwiazdy badamy ze szczytów górskich, podobnie i losy ludzkie winniśmy badać z wysokości nieba. Widziane z wyżyn wiary to, co zdawało się nie mieć sensu — odzyskuje go, co zdawało się nieprawne, powraca do prawa, światła, które zdawały się być błędne układają się w wymow-

ne konstelacje, to, co było ciemne, staje się kluczem dla niewyjaśnionego.

Jeśli historia nie ma początku i końca — nie ma też i sensu, staje się kroniką ciągłych szaleństw i bezużytecznych zbrodni. Początek i koniec zaś nie mogą znajdować się w nauce zoologów, którzy sami nie wiedzą skąd się wzięli i jaki ich los, ale jedynie w Bogu. Przez usunięcie Boga z historii dochodzi się do niezrozumienia człowieka.

WY, historycy, z swoim milczeniem o Bogu, odmawiając uznania Go, jesteście współwinni powszechnego odszczepieństwa. Wasza ignorancja i milczenie w obliczu Boga ośmielają ignorancję i obojętność człowieka.

Nie mówcie, że to należy do historii teologicznej, pojęcie przestarzałe i minione. Myślicie może, że prawda, jeśli jest dawną, przestaje być prawdą? Wyobrażacie sobie, że Teologia, nauka o Bogu jest bardziej fantastyczna, niż wasze fiyki i antropologie? Ludzicie się, że prawo ciężenia, czy eter są mniej tajemnicze niż Trójca święta i Wcielenie? Znaćcie może lepiej naturę światła, niż my znamy naturę Ducha Świętego? Spytajcie swoich mistrzów, którzy naprawdę umieją się poruszać w królestwie znaków i symboli bardziej niestałym niż nasza Teologia.

Metoda, którą pogardliwie nazywacie teologiczną zblizła bardziej do prawdy, niż wasza, szukająca uzasadnienia faktów historycznych, a więc także i duchowych, w statystykach zbiorów bawelny, czy w wykazach strat i zysków kupieckich. Jeżeli usiłowania objawienia historycznego św. Augustyna czy Bossueta nie zadawalały was, podejmijcie inne, wy, zbrojni dzisiaj w skuteczniejsze sposoby analizy i zbierania faktów. Ja nie zachęcam was do ulegania wpływom jakichś fantastów starożytnych, ale namawiam was do poszukiwania nowych przez was samych zanotowane.

Mówię wam tylko, że ani Kolumb, ani Magellan historii nie na rodził się jeszcze.

NIESZCZĘŚCIEM jest, że i sami historycy Chrześcijaństwa i Kościoła opuścili boski statek historii pojmowanej jako objawienie — być może z obawy przed wyśmianiem — lub też przez wrodzoną mierność umysłową. Opisują życie wiary chrześcijańskiej z tą samą letnią powolnością, jakby opisywali dzieje spółki akcyjnej, usypiając czytelników miast ich porwać i poruszyć.

### Wytyczne

Najwyższą godnością człowieka jest współuczestniczenie w planach Opatrzności. Wiecznym i nieprzemijającym jest to, co stanowi wykonywanie Woli Bożej.

Dlatego każdy z nas winien ustawicznie rozwiązywać skupieniem wewnętrznym i modlitwą najważniejsze pytanie, czego chce ode mnie Bóg. Czego chce w stosunku do całego mego życia, do każdego dnia, do każdego czynu i myśli.

Dmlogi 02

# Elementy ekstazy kontynentalnej

(rozważania literackie)

## PRZESZŁOŚĆ CIAŻĄCA NAD NAMI

Zaczerpnijmy z niej czego nam trzeba w chwili, gdy chcemy iść naprzód.

Tamto życie! W poczekalni, w przedsionku, w „przededniu”, w tak zwanej „fazie przejściowej”, w zstępującym pod ziemię szeregu — tyle lat w ukryciu i w drodze, w chwilowym zawieszaniu i poszukiwaniu — ciągle pomiędzy i wśród — na jakimś śmiertelnym etapie — wołani co noc przez umarłych — nadśledzający pod ziemnych eksplozji, chcemy wywieść z jej odgłosu — treść czasów.

Od kiedy to — z wertowania martwych i beztreściwych konwencji — rodziły się postawy płodne dla kultury wielkiego stulecia? Dziś, więcej od słowa realizmu, porusza nas widok młodych kobiet w czerni. W pachnącym ich welenami powietrzu, po raz któryś już z rzędu uwodzić zaczyna rozkołysany, przelotny wdzięk polski — krwawy czar powstań, spoufalonych ze śmiercią. Gorycz znowu dojrzewa wśród ruin, niewybuchłych jak gdyby i wyczekujących dopełnienia losu.

Tak nad głową zwisają te gromy z kamienia, a w tym wszystkim ciągle my sami, postępujący w szeregu, który dotyka Stóp Bożych — wstydliwie okazani użyciem, lekkomyślni, przejściowi, wędrowni, kuszeni przez wschód i zachód — w odurzającym przeciągu wieczności i cywilizacji.

To my, przejściu widzeniem lotniczego nieba, rosnącą ciągle bliskością mórz i kontynentów, trwamy w przy-

stani wśród gruzów, coraz bardziej przelotni, przydrożni, uczestniczący w istnieniu poległych staramy się sprostać tej wiedzy, jaką przekazuje nam nowy zmysł życia, szturmującego ów wymiar niezmany.

Pojęcie ziemskiej wędrowki z nową siłą odradza się w nas.

## NADCIĄGA: EKSTAZA KONTYNETALNA

Oto wyraz wspólnoty losów podziemnych, impuls co noc uderzający z głębi — nie smutek, rozpacz i osłabiający żal, lecz ekstazytęzyczne napięcie życia — spowodowane przez sam fakt włączenia w ów tajemniczy ciąg metafizyczny — w masową przemianę materii, w istnienie bezgraniczne i niewyczerpane.

Śmierć uspołeczniiona w doznaniu zbiorowym stała się czynnikiem nowego zmysłu życia, płodnym i twórczym żywiołem.

Istnienie to przebrało swą miarę w momencie, kiedy miliony, zstępujące w ciemność, ciągnąc nas w pędzie za sobą — przekroczyły ów rozpękający się w ogniu horyzont.

Któż tak wieczność salwami otwierał — kto wtargnął w nią, głębiej niż my zdolni wywieść ekstazę kontynentalną z naszych śmiertelnych i krwawych doświadczeń? Dalecy od młodo-polskiej egzaltacji kosmicznej, nie widzimy w śmierci dekadentkiego schyłku, ani tragedii istnienia, ale ożywczy, odradzający się w każdej sekundzie pęd wszystkich energii witalnych, ten właśnie, który nas sa-

mych wewnętrznie poszerza i wzmacnia.

Należy przezwyciężyć ów cierpiętniczo - męczeński patos romantyzmu, odnawiający się wciąż w łzawej okropności okupacyjnych sprawozdań, gdzie groza przechodzi w beznadziejność i rozpacz wskutek ciągłego epatowania sadyzmem pokroju fizjologicznego.

Jest radość w szturmuowaniu podziemnych tajemnic! Jest wielkość w tej zdobywczej i wyzwalającej furii, w metafizycznym pragnieniu przekraczania granic. Jest pełnia narastająca w momencie, kiedy ów prąd przebiegający wzdłuż szeregów, których czoło dotyka nieznanego wymiaru wieczności.

Z tej poczekalni, wśród ruin, które zawarły w sobie kształt strzelistego wybuchu i pierwotność drżenia głębi ekstazy kontynentalnej, nasz młody metafizyczny witalizm, dogmat o łączności żywych i umarłych — zwiędłszy mit Zmartwychwstania

## LITERATURA

Zadanie nasze polega na tym, by wywieść nowy kierunek literacki z jedynej i niepowtarzalnej sytuacji jaką przeżywamy. Literatura czmyżeł jest, jeśli nie psychologią narzuconą przez moment dziejowy?

Trzeba się zdobyć na widzenie rzeczywistości organicznie wynikającej z charakteru obecnej epoki.

Pytamy! Jaki układ dyspozycji twórczych wyzwoliła w nas rzeczywistość współczesna? Jej dynamika określa treść widzeń i kształtuje narzędzia wyrazu.

Realizm? Bardzo dobrze, ale właściwie ma zostać zrealizowane? Chodzi o wyodrębnienie zespołu sugestii zdolnych zrodzić prąd wywieziony z natury formujących nas dzisiaj doświadczeń. Wszyscy chcą, żeby był zgodny z rzeczywistością, a nikt nie pyta jaka jest rzeczywistość wyznaczająca „dialektykę duchowych przemian”. Utrwalenia czeka psychologizacja tej chwili dziejowej.

Obnażyć pragniemy sam rdzeń sytuacji, jej aspekt irracjonalny, to co nie da się nigdy bez reszty sprowadzić do wyznawanego systemu poglądów, a wibruje wciąż w atmosferze. Zapach naszego czasu!

W tej chwili mówimy o sztuce rodzącej się z opętania rzeczywistością, mamy na myśli pewną zbiorową obsesję, uraz wizualny. Każdy wielki przełom jest skutkiem zmiany ciśnienia atmosferycznego. Sygnalizuje on rewolucję zachodzącą w treści doznawania świata. Niesie przeobrażenie klimatu.

Współczesne credo artystyczne stanowić musi żywy i bezpośredni wykładnik tych najgwałtowniejszych przeżyć jakie kiedykolwiek przypadły w udziale społeczności ludzkiej.

Jakżeż wyzwolić ów prąd bez zannurzenia się w burzę jaka go wydała?

Tu nie ma miejsca na deklamację o światopoglądach. Trzeba odnaleźć ich żywiołowe odpowiedniki w języku złożonym z obrazów i widzeń. Będziemy chcieli zdać sobie sprawę z wyrazu, jaka posiada współczesna egzystencja polska, ważne jest bowiem wiedzieć, co ma być ukształtowane w kategoriach artystyczno-intelektualnych. Skoro większość ludzi wnioskuje o rzeczywistości na podstawie swych elementarnych doznań, dobrze jest sprawdzić, jakie wrażenie ta rzeczywistość wywiera i jakie obraz pozostawia w nas.

Nauki ścisłe mogą go zlekceważyć, ale socjologia musi się nim zająć.

O cóż właściwie chodzi: obnażyć trzeba treść świadomości czasu wojennego i z niej wywieść zasadniczą postawę pisarza.

## PRZECIW EPIGONOM

Kierunki literackie są zawsze wrazem wstrząsu i ośnienia. Nie można ich wydedukować z podłoża produkcji czy z techniki podziału bogactw.

Te fakty są współczynnikami wizji, ale one jej nie wywołają. Potrzeba katalizatora. Iskra musi przeskoczyć gdzieś indziej.

Namiętności kulturotwórczej nie podrobi żadna socjologiczna relacja przepuszczona przez filtr staroświeckiego realizmu w stylu Balzaka czy Zoli.

Realizm trwa przeszło pół wieku, on się ani na chwilę nie skończył. Śmieszne jest robić hasło z czegoś co i tak się dzieje. Postępując w ten sposób, nasi krytycy wykazali całkowicie brak inwencji kulturalnej.

Jeżeli po sześciu latach tak straszliwych przemian żaden z nich nie potrafił się zdobyć na samorodne i twórcze sformułowanie, to znaczy, że i na przyszłość niewiele można się po nich spodziewać.

Kto zakłada wierność relacji w stosunku do pierwowzoru, ten w ogóle nie daje żadnej dyspozycji twórczej, powtarza tylko stary banał o naśladowaniu z natury, nie pytając nawet, czy ono jest celowe i czy jest możliwe lub płodne dla sztuki jaka nadchodzi? Zagadnienie powstaje dopiero w tym momencie, gdy zaznaczamy różniczkować pojęcie realizmu ze względu na charakter faktów, domagających się realizacji w dziele literackim.

Krzysztof R. Gawor

## felieton

# Zainteresowania i spleen

W biurze, gdzie kilkadziesiąt osobowy personel gadał przed urzędowaniem, w czasie — i po urzędowaniu, tudzież w stołówce przy obiedzie, zjawił się jakiś mohikanin. Zrazu jedyną jego ekstrawagancją było to, że goniąc biura przynoszący papierosy i kanapki kładł na jego biurku nie tylko „gazetę”, tj. dziennik, ale też i jakieś nieilustrowane czasopisma. Po pewnym czasie jednak urzędnik ten zaczął określoną działalność przeciwko ustaleniemu porządkowi. Oto zaczął wypytywać towarzyszy co myślą o tej, lub o innej sprawie, niewątpliwie w tych swoich pismach wyczytanej.

Otrzymałszy odpowiedzi nie mówiące, a raczej zażenowane, zadał szereg pytań jeszcze bardziej kłopotliwych: to dlaczego pan nie czyta? dlaczego pani wstydy się, że nie wie „od czego jest” Koźmiewski? A gdyby pan czytał, to o czym najchętniej? Stanowczo trzeba było mu odpowiedzieć. Zaczęło się od nieokreślonych — o, przed wojną to ja dużo czytałem... A potem: człowiek tyle przeszedł i tyle przeżywa, że się to co pisza, wydaje do siebie niepodobne. Może dobrze w to się wgłębiać, ale — nuż ten co pisał inaczej myśli?

I jeszcze: my tu cały dzień mówimy o przydziałach, ale niech pan nie myśli, że całkiem nie mam innych zainteresowań. Tylko widzi pan — to jest trochę wysiłek, a ja wtedy go zrobię, kiedy mi coś da — poco męczyć się w innym razie...

Słowa takie padają swoją drogą, a tymczasem pióra piszące stawiają sobie na ścieżkach wiodących do czytelnika znaki zapytania. Bo jakże? Chcąc podać coś do wierzenia lub do znajomości pióra orze, potem z czoła grunt rzetelnie zrasza, zgryzła dzielnie o rzetelność dla obsłużenia klienteli czytającej i — nic, a przynajmniej często nic.

Klient czytający targuje się, bo jest

biedny. Jest zmęczony, toteż ostrożnie gospodaruje odrobiną swego czasu, jest także bardzo przejędźony nadmiarem rzeczywistości. Wspaniała żywotność ludzkiego umysłu pozwala mu regenerować ciekawość — siły samoczynowe ostrzegają przed wysiłkiem zainteresowań. Ciekawość — rzecz prosta zaspakajają bliskie, krótkometrażowe wydarzenia i długometrażowe filmy. Zainteresowania bywają jednak jak sny o ziemi obiecanej — sny na jawie, kończące się zamknięciem znużonych oczu w trakcie lektury. Daremnie autor celował w to, co najważniejsze jego i czytelnika zdaniem — daremnie czytelnik mu zaufał. Nie porozumieli się. Czytelnik dostał strawę przypaloną od gorących marzeń autora — skrzywił się na to jadlo — i poszedł do knajpy.

Zainteresowania (nie należy ich mieszać z emocjonalnymi, nawet długotrwałymi kierunkami ciekawości), są ważkim elementem składowym psychofizycznej osobowości człowieka, który sam często, świadomie określa ich miejsce w hierarchii znaczenia tuż po przekonaniach. Jest to pozycja wysoka, a z racji sąsiedztwa — dość uwrażliwiona. Dlatego konsument słowa pisanego nie chce narażać się na marną strawę, podaną w sosie osobistych, czy propagandowych życzeń autora, przypawioną jego własną, lub zbiorową wizją. Zasypany taką lekturą buntuje się — marzy chce ją, a ty pisz — co wiesz na pewno. Najbardziej kryształowa przejrzystość intencji nie uwiąże uważy zniechęconego. Człowiek powojenny i zmęczony jestem — powiada. Tyle rozczarowań spadło na niego i tyle razy irytowano go — ot, kiedyś po upadku Francji wstawiano mu do ręki — wierszowane przepowiednie.

A on tymczasem z tego materiału, jaki potrafiłby zrobić swoją uwagę chce usnąć sobie szamiec pewności.

Wy, historycy Chrystusa i Kościola zdajecie się obawiać wszystkiego, co nadziemskie. Historia Chryścijaństwa jest najbardziej dramatyczną z wszystkich historii. Nie jest to łagodne powstanie, następnie wzrost, wielkość i upadek, jak w innych dziejach, ale stale od nowa ma się obrona przeciwko wszelkim siłom, które się przeciwstawiają triumfowi Chrystusa. Oto heroiczne dzieje ofensyw przezwyciężonych, ataków odpartych, zdrad unieczwionych, oblężeń wytrzymanych, ran uleczonych.

Tak było od wieków, od ukamienowania Szczepana aż po dzień dzisiejszy.

Historia Chryścijaństwa, jego nieustającego oporu i odradzania się, stanowią najoczywistszą apologię, najwyższy dowód jego boskiego pochodzenia. Ale wy tego nie widzicie i nie potraficie innym uświadomić. Zaliczacie się tym sposobem do najcięższych grzeszników przeciw Duchowi Świętemu. Wasza mierność jest zbrodniczą, bo pomniejsza sam Kościół Chrystusowy i oddala tych, którzy mogli podążyć jego ścieżkami.

Wielu przytwarza, że Krzyż stoi w centrum historii świata, ale nikt nie troszczy się o to, by dać dowód, wprost geometrycznie przedstawiony, tej prawdy olśniewającej wszelką przyszałą apologetykę. Tak dowód jest niewątpliwie możliwy, a jedynie wasze zacofanie wobec wszystkiego, co oznacza ponadludzką Obecność, opóźnia ten proces. Wydaje się, że Krzyż jest nieruchomy słońcem, wokół którego porusza się podług prawa czasu koło historii. Nieskończona ilość odpowiedników, analogii, powtórzeń, przed Chrystusem i po Chrystusie jest tak wielka, że nie można ich traktować jako przypadkowych zbieżności. Widzicie sami, jak wielką wartość mogłoby mieć to odkrycie udowodnione wątpliwym, które pozwala się przekonać tylko faktami konkretnymi i licznymi o boskości Chrystusa, co jest kamieniem węgielnym naszej wiary.

JEŻELI rodzaj ludzi, jak to ty lokrotnie powtarzałem i powtarzać będę, znajduje się w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa — jeżeli ocalić można się jedynie stając się na nowo pełnym Chryścijańskim w wierze i czynie, zrozumiecie, dlaczego zwracam się i do was.

Wszystko to, co odciąga człowieka od Chrystusa w tej chwili jest przyspieszeniem śmierci, wszystko zaś, co otwiera ludziom i narodom moc szczęśliwą i zwycięską Chrystusa jest obietnicą uzdrowienia i zbawienia. Również i wy winniście przyłożyć ręki, w waszej dziedzinie, do niezmiernego dzieła powszechnego nawrócenia.

Ludzie, jeśli nie chcą zginąć, muszą odnaleźć i uczcić Boga w każdej części i w każdym kształcie wszechświata. Powinni poczuć Boga również w dziejach własnego rodu, a jeśli ta historia będzie prawie zawsze historią cierpienia, to myśl, że ból ludzki jest wola osiągnięcia w nas boskości — da nam pewność całkowitego odrodzenia. Was to, historycy, w pierwszym rzędzie dotyczy — dzieło płomiennego objawienia o konieczności przebudzenia.

Bądźcie więc, w imię Chrystusa, przewodnikami po Wieczności poprzez bagno i topieliska czasów. Niech praca wasza potwierdzi świętą prawdę, że historia jest próbą wyobrażenia sądu ostatecznego.

CELESTYN VI Papież  
Sługa Sług Bożych

Wskazywano na niego di Papa Celestino VI. Pubblicato in Firenze da Vallardi Editore.

Przekład  
J. Olechowski

Zależnie od tego, jaka jest rzeczywistość, ulegała zmianie sposób widzenia konkretnej prawdy dziejowej. Walczymy o własne narzędzia, o samodzielne spojrzenie na rzeczy. Należy sobie zdać sprawę z rodzaju egzystencji, kształtującej wrażliwość tego pokolenia, aby z odmienności rytmu biologicznego nie z martwej i beztreściwej konwencji mogła wynikać dyspozycja twórcza, i przyrodzona naszemu stuleciu.

Kiedyż Bóg ukaże się w sztuce, jako siła przenikająca każdą cząsteczkę istnienia? Pytanie co stanowi zasadniczą treść rzeczywistości, z jaką obujemy siłą rzeczy, wysuwa się na pierwszy plan.

### POWRÓT DO PUNKTU WYJŚCIA \*)

Sztuka zaspakaja w człowieku ten głód upojenia, który kiedy indziej sięgać każe po narkotyki dający możność ucieczki od rzeczywistości. Nieco innego lecz ta ucieczka właśnie przybrała w latach ostatnich formy przeraźliwe.

Olśnienia mocnego chce człowiek przebijający się w strefę kultury. Wizji pragnie — takiej co był przeistoczyć. Realizmu ma dosyć na codzień. Podświadome pragnienie nowego stylu życia, decyduje dziś o wyborze

\*) Patrz nr 13 — 14 „Dziś i Jutro“

lektury. Książka ma powiększać nasz zasięg widzenia, a nie mówić o tym, co każdy widział i zna. To jest młocenie trocin.

Takie głosy w czytelniach publicznych i miejskich. Ludzie chcą się oderwać od tego co ich otacza. Teżażniejszość mało ich pociąga. Trzeba stać do walki z szarzyzną i nudą, pożerającą masy odcięte od pełni kultury. Dopóki każda rzecz w otoczeniu człowieka nie nabierze cech dzieła sztuki, stan jątrzącego nienasyceńca będzie przybierał na sile, albo wiem rzesze spragnione są piękna i różnorodności, a nie stanadaryzowanej monotonii i równania w dół

**Lecz jakie są możliwości? Przyj-  
rzyjmy się elementom wchodzącym w  
skład wieloznacznego pojęcia eksta-  
zy. Skoro wszystko dziś ku niej się  
skłania, czas najwyższy ustalić hie-  
rarchię tych doznań. Oto przezirzys-  
tych szereg:**

- 1) Strefa ożurzenia. Biogostan fizjologiczny. (Alkohol, erotyzm, narkotyki).
- 2) Ekstaza przestrzenna Władanie ludźmi i żywiołami. Imperializm
- 3) Zachwyt w obliczu dzieła sztuki. Potrzeba estetycznego olśnienia.
- 4) Wzruszenie towarzyszące odkrywaniu nowych praw i związków między zjawiskami. Olbrzymie pasje poznawcze. (Patrz relacje uczonych. Ich

tryumf przybierający na sile w czasie rozbitcia atomu).

- 5) Emocja potężniejsza dzięki wzmaganiu życia w innych ludziach. Radosne ożywienie wewnętrzne wywołane wskutek dokonanego dzieła miłosierdzia lub skutecznej reformy społecznej. Satisfakcja twórcza.
- 6) Uczucie metafizyczne. Świadomość niewyczerpanej potęgi odnawiającego się wiecznego istnienia. Stan uniesienia zespalaający w modlitwie żywych i umarłych.
- 7) Ekstaza mistyczna. Docieranie do źródeł Boskiej energii wesechświata przez Miłość, stanowiącą warunek poznania. Przykłady: Św. Jan od Krzyża, Św. Teresa. A. L.

### Walenty Majdański

# NIEZWYKŁA OKAZJA

„Tygodnik Powszechny“ nie ma dość słów podziwu dla humanitaryzmu Gandhiego. Wobec tego spodziewam się następnego etapu, by z równym humanizmem walczył o życie dzieci nienarodzonych w Polsce. Wezak w Indiach „nawet krowy nie wolno zabić! Chodzi i u nas o poziom.

A oto drugi fakt, nie mniejsze rokujący nadzieje. Ministerstwo Zdrowia i Państwowy Zakład Higieny ostrzegają niedawno, by nie nabywać pewnej farby do podłóg. „Wskutek użycia tego płynu — pisano w ostrzeżeniu — zaobserwowano wypadki ciężkiego zatrucia i śmierci“. Itd. itd.

Czyż wobec tego nie należy czekać ostrzeżenia, również w sprawie handlowej, ale groźniejszej? Mianowicie, z terenu aptekarskiego alarmują mnie: „Nieuczciwi aptekarze nie tylko sprzedają lekarstwa służące do spędzania płodu, bez recepty, ale jeszcze sami doradzają i polecają na prośbę klientek najskuteczniejszą działającą lekarstwa“. Itd.

Trzecie, niemniej poważne zjawisko. Ostatnio Zarząd Główny PCK ogłosił w całej prasie komunikat z następującym hasłem: „Ani jedno dziecko polskie nie może być zgromanizowane!“ Kogóż nie wzruszyło to

zawołanie i komuż się natychmiast nie narzuciło pytania takiego: kiedy Zarząd PCK zamieści komunikat do narodu z wezwaniem: „Ani jedno dziecko polskie nie może być zamordowane w łonie matki!“?

Liczbą tych ofiar zaraz się zajmmy.

### „PIEKŁO KOBIET“ I HUMANIZM CHRZEŚCIJAŃSKI

Najpierw sprezentujmy fragment jeszcze jednego listu. Lekarz, profesor uniwersytetu, członek Akademii Umiejętności pisze: „Walka z przerywaniem ciąży w Polsce jest jednym z naczelnych zadań współczesnych. Po prostu wierzyć się nie chce, ile w Polsce zabija się (nawet „legalnie“) nienarodzonych“. Następnie uczony przytacza cyfry jednej z klinik jednego z najpobożniejszych miast polskich. Na 1834 porodów... 1776 poronień i przerywań ciąży (Poznań, I.IV.1946 — 31.XII.1946).

A oto ułamek statystyki jednego z warszawskich gabinetów lekarskich:

Ilość ciąży u pacjentki	W tym ilość porodów	Ilość poronień	Następstwa poronień
13	3	10	Rak
10	2	8	Zapalenie
6	1	5	Zapalenie
„Liczne“	2	„Liczne“	Rak
7	3	4	Zapalenie
5	2	3	Amputacja
8	1	7	Guz
4	1	3	Zapalenie

A nie są to wszystkie możliwe następstwa ujemne, jak o tym można się dowiedzieć z prac prof. dra K. Orzechowskiego, prof. dra A. Czyżewicza, a z obcych: choćby od F. Franka, A. Niedermeyera, G. Clément'a, R. Gucheneera, C. Richet'a. Jak tedy wyglądać będzie rysopis braku miłości macierzyńskiej i wpływu tego braku na zdrowie nie ośmiu Polek, ale u ośmiu milionów kobiet polskich za lat dziesięć, dwadzieścia, jeżeli już dziś nie położymy kresu zabijaniu nienarodzonych? A stan sumień tych niewiast? Przecież to... matki dzieci polskich, nasze... żony, narzeczone, córki, siostry, czytelniczki prasy katolickiej! Czy można patrzeć bezradnie na ich tragedię, aż do czasu, kiedy nastanie... dobrobyt na poziomie „amerykańskim“? Czy to po katolicyzmie chrześcijańskim, od którego to terminu aż się roi w powojennej inteligencji, katolickiej prasie polskiej?

### WIELKA ZASŁUGA STRONNICTWA LUDOWEGO I WIELKIE „ALE“

Zdrowotną stronę poruszanych tu zagadnień niesłychanie skąpo uwzględniła fachowa polska prasa lekarska. A szkoda! Z dnia 19.XI.1947 piszą mi w liście z zagranicy: „Lekarz belgijski z Namur, katolik, został skazany na 10 lat więzienia i pozbawiony prawa praktyki do końca życia za wykonanie dwudziestu kilku zabiegów przerwania ciąży. Udowodniono tylko dwa zabiegi. Operacje wykonywał wyłącznie w środowiskach nędzarzy Odmawiał w sferach średnich i bogatych“. I druga wieść również z listu z zagranicy: „Polak, porucznik, lekarz w Anglii, za wykonanie jednej nieprawnej operacji, udowodnionej przez sąd angielski, skazany wyrokiem sądu wojkowego na wysiedlenie poza granice Wielkiej Brytanii. Wrócił do Polski“.

Wszyscy wiemy o masowych pogromach, urządzanych w Polsce przez niektórych lekarzy, przez liczne położne „babki“ i przez nieprzeliczoną ilość... matek — na dzieciach nienarodzonych. Każdy w swych stronach zna z imienia i nazwiska członków „podziemia“, robiącego interesy na dzieciobójstwie.

Otóż znaki na niebie i ziemi wskazują, że się to wreszcie ukroci. Aczkolwiek w październiku 1947 roku, gdy Państwowa Rada Zdrowia zjęła ze swego porządku obrad sprawę przygotowanego kretu przeciw poronieniom, rzecz wyglądała nadal bez-

nadzieinie. Atoli wkrótce inicjatywę przejęło Stronnictwo Ludowe. Mianowicie poseł doktor Jurek z kolegami z Klubu Poselskiego SL zgłosił wniosek „w sprawie projektu ustawy o poronieniach“, dyskutowany podobno od tego czasu przez specjalną komisję sejmową. Wniosek stwierdza między innymi, że u nas „9,5 miliona dzieci w ciągu 25 lat nie ujrzało światła dziennego wskutek zbrodniczych poronień“.

Ale gdy dalej czytać — projekt samej ustawy, to widać, że wnioskodawcy nie unają dziecka nienarodzonego... za człowieka. W artykule bowiem drugim mówią: „W przypadkach, gdy zabieg spędzenia płodu jest konieczny ze względu na zdrowie kobiety ciężarnej, lekarz może dokonać takiego zabiegu“ itd.

Takie ujęcie, to prawniczo ślad tego rodzaju postawy człowieka silnego wobec słabego, gdzie w dawnym ustawodawstwie silny upośledzał jednostkę słabszą: kobietę, niewolnika, chłopca, proletariusza, a dziś upośledza... dziecko nienarodzone, najslabszą „absolutnie nie mogącą się bronić istotę ludzką, nazywając zabicie jej „zabiegiem“ i pozwalając na to człowiekowi z tak wysoką kulturą umysłową i pozycją społeczną jak lekarz. Szaleństwo czy naiwność?..

Po wtóre, takie ujęcie, to lekarzsko echo niskiego poziomu niedawnej medycyny, która wierzyla dzielnictwu, że przerywając ciążę ratuje zdrowie i życie ciężarnej; medycyny niedołężnej, która w razie konfliktu między życiem płodu a życiem matki, nie potrafiła inaczej ratować matki, jak tylko... zabijając dziecko nienarodzone, włączając przeto zabijanie... do arsenału lekarstw. Znow: szaleństwo czy naiwność?.. Otóż obecna medycyna co innego sądzi: że „każde poronienie, samoistne czy sztuczne, jest zawsze chorobą, która nierzadko może mieć poważne następstwa, daleko sięgające i nie dające się przewidzieć“ (prof. dr Adam Czyżewicz). A więc przerywanie ciąży jako... „środek leczniczy, to staroświecyczna. I to zbrodnica. Lekarz, który tak ratuje matkę, popełnia dzieciobójstwo „niezgodne z prawem natury, z moralnością i sprawiedliwością, a dziś mogę dodać — niezgodne ze sztuką i wiedzą lekarską“ — pisał jeszcze w roku 1926 w „Le Devoir du Médecin“, strona 62. profesor doktor Eugène Hubert z Lowanium. Co więcej: „metody naukowe tak postąpiły, że uratowanie życia dziecka stało się najlepszą metodą ratowania życia matki“ — pi-

sał jeszcze wcześniej, w roku 1922, profesor doktor Fritz Frank, dyrektor Uniwersyteckiej Kliniki Położniczej w Kolonii, w książce „Schutz oder Würangel“, strony 9—10.

Po trzecie: tylko bezwzględny zakaz przerywania ciąży powoduje szybki postęp w ginekologii-położnictwie, bo zmusza świat lekarski, by zamiast prostackiego przerywania ciąży, szukać innych rozwiązań dla ratowania i dziecka i matki: razem, ilekroć zachodzi konflikt między jednym życiem a drugim.

Do czego już jest zdolne położnictwo polskie i na ile można by podciągnąć je za pomocą ustawodawstwa eliminującego bezwzględnie przerywanie ciąży, dowodzi Uniwersytecka Klinika Położnicza w Warszawie, gdzie w roku 1946, lecząc 2.800 pacjentek, ani razu nie przerywano ciąży, ratując w ciężkich wypadkach matkę i dziecko za pomocą innych środków: prawdziwie lekarskich; acz i w tym zakładzie, niestety, uznaje się wskazania do przerywania ciąży, gdy ta zagraża naprawdę życiu matki. Nic więc dziwnego, że naczelny organ Izb Lekarskich „W Służbie Zdrowia“, w numerze z września 1946 roku, żąda w jednym z artykułów bezwzględnego zakazu przerywania ciąży.

Krótko mówiąc, gdy prawo nie pozwala przerywać ciąży, staje ono najbliższemu poziomowi dzisiejszej medycyny. I maksymalnie czyni zadość wymogom dobra państwa. Dlaczego? Choćby dlatego, że aczkolwiek na skutek bezwzględnego zakazu przerywania ciąży pewna ilość kobiet traci życie, to, jak wykazuje statystyka, wielokrotnie więcej matek umiera z powodu przerywania ciąży, nie licząc wykazanych wyżej strat w zdrowiu takich poroniarzek, olbrzymiej ilości zabijanych przez nie dzieci nienarodzonych oraz faktu, że jakiegokolwiek ustawodawcze zezwolenie na przerywanie ciąży prowadzi do tego, że w praktyce przekracza się znacznie intencje ustawodawcy. Czymże zresztą jest to okrutne nadużywanie przewagi człowieka dorosłego nad nienarodzonym, jak nie barbarzyństwem w ustawodawstwie, medycynie, małżeństwie; barbarzyństwem, którego zwyrodnienia w dziedzinie politycznej potępił w Norymberdze świat cały?

### Walenty Majdański

#### Krótki Katechizm Rz.-Kat.

Najtańszy i najbardziej nadający się dla dzieci i młodzieży;

Nabożeństwo Różańcowe, zawierające opis cudów w Fatima, akt poświęcenia Niepokalanemu Sercu Marii Panny; praktykę pięciu sobót wynagradzających i dwa sposoby odmawiania Różańca;

Tajemnice Żywego Różańca wysyła paczkami za pobraniem lub po wpłaceniu na konto P.K.O. Łódź VII-608

Ks. Dr Win. Helenowski  
Gostynin, woj. Warsz.

Na 100 kobiet, które były w ciąży.

Grupy kobiet według wieku	Liczba kobiet	Liczba ciąży	Przeciętna liczba ciąży	Dzieci żywe	%	Dzieci martwe	%	Poronienia samoistne	Poronienia sztuczne	%
Do 25 lat	8	14	1,75	9	64,3	—	0	—	5	35
Od 26—35	33	102	3,09	37	36,3	3	3,0	7	55	53,9
Od 36—45	23	65	2,82	35	57,8	—	0	7	23	35,4
Od 46	36	142	3,94	91	64,1	8	2,1	9	39	27,7
Razem	100	323	3,23	172	52,25	6	1,85	23	122	37,7

Nie brak poważnych katolików, którzy perswadują: „Gdy nastaną lepsze warunki materialne dla rodzin, będzie można wymagać dzieci od małżeństw; tak jak dziś, cała ta sprawa, jako oderwana od życia, wisi w powietrzu“. Poczcicy ci są bardziej poważni niż katolicy. Dlaczego? Po pierwsze: dobre warunki dla rodzin powstają wtedy, gdy ma kto o nie walczyć i z nich korzysta; gdy istnieje liczna i potężna klasa małżeństw prowadzących zdrowe życie rodzinne wielodzietne. Reformy prorodzinne, wywodzące się z innych źródeł i działające w innych środowiskach słabo skutkują. Po wtóre: gdy chodzi o małą skromną publicystykę nie zmierzsa ona przede wszystkim do tego, by było jak najwięcej dzieci, lecz by nie zabijano nienarodzonych. Po trzecie: gdyby zostawić odlogiem sprawę zabijania dzieci nienarodzonych, utrwalili się i rozszerzy przyzwyczajenie do bezdzietności i małodziejności, do neomaltuzjanizmu i dzieciobójstwa; wszystko to zaś pogarsza katastrofalnie te możliwości odrodzenia zdrowego życia małżeńskiego, na jakie liczymy, że nastaną wcześniej czy później wraz z nadejściem lepszych gospodarczo warunków dla rodzin.

Innymi słowy: za kilkanaście, kilkadziesiąt lat możemy upodobnić się do

USA, gdzie przy akompaniamentie dobrobytu szaleją rozwody i gdzie szacuje się liczbę zabijanych dzieci nienarodzonych na 4-ry miliony rocznie. W razie znów gdyby rząd nie nadszedł z radykalnymi reformami prorodzinnymi, mogą przyjść stosunki takie jak we Francji, gdzie dzięki niedawnym gruntownym reformom na rzecz rodzin oplaci się nawet materialnie obecnie po wojnie mieć wiele dzieci, ale gdzie korzystać z tego chce zaledwie nikły procent małżeństw.

Lecz odpowiadzmy także tym, co mówią: „Po co dziś rodzić dzieci: czy po to, żeby były zdechłakami?“ Oponenci mają tu chyba na myśli również zdrowie kobiet.

Otóż znamienne jest to, że nic tak nieodwołalnie nie wpływa dziś na pogorszenie się zdrowotnych warunków dla rodzin, a zwłaszcza dla kobiet w przyszłości, jak obecnie dokonywane poronienia i przerywanie ciąży. Przyczynymy w tym celu choćby dane, wzięte od ośmiu kobiet (spośród kilku tysięcy pacjentek pewnej kliniki położniczej, opracowującej ankietę za rok 1946), by się przekonać, jak zdrowie owych ośmiu niewiast wygrało na tym, że zabijały swe dzieci, odkładając rodzenie na czasy, gdy w Polsce nadejdzie dobrobyt „amerykański“.

„Artysta, prawdziwy artysta, a nie przeintelektualizowany młodek, mielący automatycznie wszystkie możliwe wariacje i permutacje, nie powinien się bać cierpienia”.

S. I. Witkiewicz

W dwudziestolecu minionym zarówno sytuacja samego Witkacego jak sytuacja jego utworów na dziedzinie literackiej była dość szczególna. Mówiło się o dziwactwach Witkiewicza, mówiło się o specyficznych trudnościach jego dzieł literackich: pogranicze groteski i czegoś buffo, wielkie i nieznosne dziwactwo. Ci, którzy stykali się z jego pismami teoretycznymi, byli niewątpliwie urzeczonymi jego metodą myślenia i jego wynikami. Nie umieli się do tego przyznać, w tandetnej powszechnej opinii, ten sam uśmiech pobłażania budziła witkacowska teoria Czystej Formy, co jego zbyt długie artykuły w *Zewie*, polemiki z urojeniem, jak polemiki z Leonem Chwistkiem, rzekomym demonom intelektu. Witkiewicz widział świat zawsze w spotworniały sposób, w jego widzeniu hodował się wewnętrzny rak, wybuchający w jakichś noworostach, naroślach, zgrubieniach, deformacjach. Stąd może jego skłonność do katastrofizmu: wg. Witkiewicza sztuka stoi nad grobem, jest w zaniku, powieść w ogóle przestała już być dziełem sztuki. Niemal całą „Walkę o treść” poświęcił Irzykowski prześladowaniu witkiewiczowskiej Czystej Formy. Może w tym było trochę nieporozumienia. W tym pojedynku o treść Witkiewicz wcale nie był szalonym Kaligulą i wcale swego konia nie mianował konsulem. To raczej Irzykowski w tych sporach przypomina Nerona. Ogrody płonące, w których niesłusznie smaży się ofiary. Witkacy bardzo pozornie zaliczony być może do formistów, jest w tym jakaś niedokładność, brak ostatecznego domyslenia do końca, gdy się jego Czystą Formę ocenia jako superestetyzm, jako dążenie do usunięcia wszelkiej treści, choć Witkacy pod tym względem sam był winien, gdyż zacierał i plątał własne ślady, walcząc ze sztuką tzw. bebeczową. Pod tym względem przypominał owych młodych ludzi, którzy urządzili w sobie występ tancerki, odkrytej w szale, płaszcz i gazy. Opowiadali jednak, sądząc, że tak będzie lepiej, że tancerka była naga, co wywołało wiele zgorznięcia wśród ciotek z powołania. Ciotki zwołały zebranie czarownic, na którym potępiono niecnotę młodych ludzi — przez ich gadulstwo zabawne, śmieszne, chełpliwe po chłopięcemu. Czysta Forma, owe napięcia kierunkowe, z którymi Witkacy tak sobie nie mógł poradzić, w jego dramatach, bardziej w jego powieściach jeszcze, nie są niczym innym jak krystalizacją pewnych treści wokół paru głównych i zasadniczych osi, które autor odbiera jako linie kierunkowe formalne kompozycji, ale które bynajmniej nie są tylko formalne. Co jest formą w utworze literackim — porozumy się — przecież nie styl. Sposób kompozycji, sposób ujęcia, mówiąc prostacko, artystycznej treści. Typowym chytem formalnym, formą, był poemat rozkwitający nieszczęsnego Peipera. Ale przestaje być zagadnieniem dosłownie formalnym zagadnienie, które ma swoją wewnętrzną dialektykę i problematykę, choćby bohaterem nadawał autor nie wiem jak wykrecone nazwiska i choćby dwie przedmowy zawierały obronę programowego nonsensu. Wołanie o Czystą Formę rozumiem jako głód wewnętrznej problematyki w literaturze, jako chęć skomplikowania tej problematyki poprzez technikę pisarską, jako środek, pozwalający wykluczyć grafomanów z towarzystwa Grafoman może podrobić styl, nastroje, złote myśli, może dać nawet ciekawą problematykę. Nie jest w stanie dać kompozy-

cji owej Czystej Formy, owego tajemniczego zaklęcia, które nierzęcystości marzenia układa i obraca w rzeczywistość artystyczną, spojona i dająca kondensacje, zgęszczenie diabelskie przeżyć w czasie, zgęszczenie, którego na ogół nie ma poza sztuką. Za to zgęszczenie płaci się nierealnością sztuki. Witkiewicz — pamiętam Jego osobiste i publiczne wypowiedzi — był przeciwny podrabianiu literatury, to znaczy przeciwny łatwości w literaturze, łatwości splecenia. Splecenie! — to było ulubione słowo firmy S. I. Witkiewicza. Jeżeli występował przeciw „bebeczom”, tzn. przeciw bezpośrednim wprost naiwnym i wprost pamiętnikarskim ekspresjonistycznym spowiedziom w literaturze, to dlatego, że nie wierzył, żeby bezpośrednio przeżycie, eksploatowane przez intuicję i introspekcję, mogło dać wartość literacką i myślową r z e t e l n ą. Witkiewicz był największym analitykiem w polskiej literaturze, to był Stendhalb ze skłonności, nawet Proust — o temperamencie bardziej gwałtownym, niż temperament Balsaca. Analiza — jak u Dostojewskiego, fantazja, jak u Rimbauda, gdyby Rimbaud miał w sobie coś z Edgara Poe i Edgara de Quincey. O tak, było w nim wielu ludzi, w Witkacym. Analiza, realizm obserwacji, głód obżarstwa, wyrażający się w fantastyczności, w deformacji halucynacyjnej, intelektualizm ostry i doktrynerski. Nieufność wobec bebeczizmu płynęła i stąd, że przeżycie przedstawiało się dla Witkiewicza nie tyle od strony realnego wyniku, realnego następstwa, ile od strony wewnętrznej problematyki, od strony różnych dziesięciu niewykorzystanych możliwości, które otwierało, idąc ostatecznie po linii możliwości jedenaściej. Wartością dla Witkiewicza, wartością filozoficzną i artystyczną, on w dziwnie i jedynym sposobie potrafił z filozofii i ze sztuki zrobić amalgamat, było nie to, co się przeżywa, lecz to, co się wtedy myśli i — myśląc, odczuwa. Bebeczizm był dla niego za prosty. Jego siła analityczna nie miała się tam o co zaciepić. Wymagał intelektualnego uporządkowania i ustawienia problemów, na tym polegał sens Czystej Formy jako zasady kompozycji artystycznej: w ten sposób miało odpaść wszystko, co jest akcesoryjne, artystyczne i myślowo nieważkie. Dla niego nigdy nie był ważnym bohaterem linia losu, linia przeznaczenia, lecz problemy, w których bohater się styka, wędrując przez przycody życia niby nowoczesny Odysseusz z Troi na Itakę. Tak, twórczość Witkacego ma w sobie coś z *Odyssey*, napisanej przez współczesnego intelektualistę, podlegającego neurastenii. Czysta Forma to przepis w jaki sposób literatura ma robić analizę życia i pod tym względem jak każdy przepis ma swoją krańcowość i swoją jednostronność. „Walka o treść” — jak pisał Fryde — jest wielką pozycją w polonistyce, w teorii dzieła literackiego. Tym niemniej z punktu widzenia polemiki z Witkiewiczem sprawia wrażenie strzału kulą w płot — zamiast w zwierzyńce. Więcej nie było tutaj zwierzyny. Irzykowski na tym polowaniu mógł kupić zajęcia u Pakulskich, lecz nie mógł go zastrzelić, gdyż między tymi dwoma było nieporozumienie, Irzykowski nie rozumiał Witkiewicza, a Witkacy, zbyt zacietrzewiony nie umiał się do końca i bez reszty wytłumaczyć. Zdaje sobie sprawę, że tymi paroma uwagami kwestii nie da się wyczerpać i że zarzut wobec Irzykowskiego wygląda wcale prawdziwie. Na później muszę jednak odłożyć cały proces, a raczej rzewizję procesu, gdyż w chwili, kiedy piszę, brak mi pod ręką wszystkich potrzebnych materiałów.

Braki techniczne zmuszają, aby napisać tutaj tylko o dwu powieściach Witkiewicza, tj. o „Pożegnaniu

## Włodzimierz Pietrzak

niu jesieni“ i o „Nienasyceniu“ Czy są one tylko dziwactwem, jak chcieli ci, którzy ich nie byli w stanie zrozumieć i ocenić, czy zawierają jednak coś więcej, choć sam autor odsądzał je niemal od czci i wiary, uważając, że nie są dziełami sztuki? Chyba niezupełnie szczerze. Dlaczego bowiem pisał, dlaczego ogłaszał, iż oba te utwory, jak Witkacy określa w przedmowie do „Nienasyceńca”, nie są pamiętnikami. Są typową kompozycją literacką i właśnie w tym witkacowskim sensie, jaki pragnąłem przed chwilą nakreślić i przedstawić.

Pisząc, że powieść nie jest dziełem sztuki, uchylał się Witkiewicz od artystycznej odpowiedzialności. Pamiętamy jednak, jak żywe miał poczucie odpowiedzialności osobistej, jak reagował ostro i bezpośrednio na głosy w swych dwu powieściach — i dlatego jego zastrzeżenia, że powieść dziełem sztuki nie jest, doskonale można nie brać pod uwagę. Conrad wyraził się w „Zwierciadle Morza”, że talent do marnego opowiadania jest wrodzony ludziom o podejrzanej moralności i lekko-myślnym charakterze. Należałoby może zacząć od tego, że Witkacy nie miał talentu do barwnego opowiadania, że w ogóle nie umiał opowiadać. „Pożegnanie“ jak „Nienasyceńca“ są nie tylko z punktu widzenia Czystej Formy skomponowane źle, w niektórych partiach z niedbałością, która wynika z niewiary w możliwość osiągnięcia celu. Nieporadność kompozycji podkreśla jeszcze ton chaotyczny tych powieści, wynikający z ich fantastycznego tła. Owa nieporadność gubi bardzo często linie napięć kierunkowych, daje linie zamazane, daje gadulstwo. Tym niemniej jeden efekt artystyczny powieści Witkiewicza w ten sposób się nasila: jest to efekt obserwacji we wklęsłym zwierciadle. Wklęsłe zwierciadło pozwala przez zmianę wymiarów uwypuklić niektóre cechy, pominać inne mniej ważne, drugorzędne — i tym samym partia rozgrywa się między głównymi graczami, z wykluczeniem outsiderów. Rzecz inna, że — jak już wspomniano — ci główni gracze ciągle nie mogą utrzymać się na kordzie, dają zbyt długie piłki, to znowu grają na auty i w ogóle nie liczą się ani z publicznością, ani nie zawsze pamiętają o regulach gry. Niekiedy zachowują się zgoła wlas-

# O N I E N A

nie jako outsiderzy, czasami jednak objawiają niesłychaną ostrość, milimetrową dokładność uderzenia. wtedy zrywa się okrzyk — ależ to prawdziwy mistrz!

Nieporadność kompozycji zaznacza się przede wszystkim przez przyjęcie tonu fantastycznej groteski. Witkiewicz — teoretyk zbyt wiele zużył atramentu przeciw utworom avec la these, aby móc otwarcie przyznać, że jego powieści właśnie mają tezę. Ratuje się pewnego rodzaju sowizdrzałstwem, nie liczy się z geografją, historią, czasem, z gadnym realizmem. Fantastyczne ru chy polityczne, fantastyczne organizmy państwowe, fantastyczne utopie myślowe rozgrywają w jego powieściach swoją sprawę. To oczywiście mogłoby być nawet bez znaczenia, gdyż, zgoda, to dla pisarza są zawsze tylko ramy. Ale Witkiewicz chce być dokładny, chce dać dokładną informację czytelnikowi. Dla jakichś przyczyn ten zamiar mu się nie udaje, czytelnik rozumie, że Chińczycy, walczący z Kocmołuchowiczem, są pretekstem i to pretekstem niedopisanym równie jak niweliści z „Pożegnania“, równie jak fantastyczna partia polityczna, której jednym z przywódców jest stary Bertz. Owe góry, wywoływane jak na ekranie, wywoływane przez zepsuty czy niedokładny aparat projekcyjny, są drugim przykładem. Można by powiedzieć, że fantastyczna groteska jest dla Witkacego autora poprostu ufatwieniem, jest mniej zobowiązująca, niż realizm, nie nakłada takich zobowiązań, pozwala właściwie na elastyczność nie nawet jako coś zamierzzonego, lecz koniecznego w wyniku, niemożliwego do ostatecznego zorganizowania. Tu tkwi jakaś słabość pisarska Witkacego — nieumiejętność skomponowania literatury. Literatury, która jest amalgamatem, w której skład wchodzi fala intelektualna, materiał pisarski już na progu warsztatu literackiego zgruchotany analizą intelektualną, przeimpregnowany myśleniem, opatrzonego znakami, ponumerowany. Myśląc o pisarstwie Witkacego, warto pamiętać, że nie ma w nim miejsca na bezpośredniość opisu, na bebeczizm, na odbijanie kopii i retusz. Od razu jest przetwarzanie, deformacja analizy — i już potem części do siebie nie mogą przylegać zbyt szczerze, są jak zbiorowisko żużli, między którymi jak

widomo istnieje system powietrznych kanalików jak w bardzo dziurawym szwajcarskim serze. Literatura Witkacego — to nie życie. To proces, wytoczony życiu z pewnego punktu widzenia.

Istotą nieporadności kompozycyjnej Witkiewicza jest niemożność odbudowania realizmu w kategoriach literackich. Jego wyobraźnia pisarska po procesie analizy nie jest w stanie już nawrócić. Odmaszerowuje w grotesce, to jeszcze wzmaga jej nienasyceńca. Witkiewicz nie ma żadnej realistycznej celności, nie potrafi żadnego momentu zastrzeżić jednym dotknięciem pióra. Próbuje sobie stworzyć ten moment. próbuje postawić cel, aby móc go trafić. Mnoży przesłanki, daje synonimy, co jakiś czas po prostu krzyczy, poszturčuje swoich bohaterów. Celność pisarska polega na wzajemności. U Witkacego druga formalną cechą jego nieporadności jest gadulstwo. Gadulstwo inne, niż w powieściach Kraszewskiego, tam było gadulstwo realisty, które wcale nie jest barwne, a które jest pedantyczne. Kraszewski nigdy nie dowierzał czy czytelnik został dostatecznie poinformowany. Witkiewicz nie dowierza sobie czy już wyczerpał temat, czy trafił go dostatecznie głęboko. Dlatego nie zawsze nawet pisze, czasami przepisuje. Przepisuje samego siebie, powtarza się, daje istne referaty o logistyce, o Husserlu, o czym wypadnie. Jego styl polega na wnikiwaniu w podziemną warstwę sprawy człowieka. Nie używa się mowy potocznej, nie można się obyć bez języka pojęć. W języku Witkacego przemawiają pojęcia, nie obrazy. I od czasu do czasu okrzyk jako wynik perseweracji, zniecierpliwienia, chęć zwrócenia uwagi czytelnika tak choćby formalna, że to miejsce jest bardzo ważne. Dlatego powieści te są trudne, nie łatwo je czytać jednym haustem, w ogóle nie łatwo je czytać: wymagają olbrzymiej mobilizacji umysłowej.

A jednak, ten trud się bardzo opłaca. Nie dlatego oczywiście, że zarówno „Pożegnanie“ jak „Nienasyceńca“, są powieściami a these i że można z nich się dowiedzieć wiele o kryzysie duchowym elity intelektualnej w epoce Witkacego. Stendhal uważał, że w gruncie rzeczy ludzkość jest wielkim Don Kichotem. Każdy człowiek ma przy swoim boku Sansę, którym jest

## Kłopoty zębującego literata

(list pełen gorczy)

Niedawno padły słowa o opiece, jaką winno otoczyć się młodzież literacką. Mówił na ten temat Jarosław Iwaszkiewicz przed zjazdem ZZLP we Wrocławiu. W związku z tym przyszła mi właśnie na myśl historia, która stale się powtarza.

Otóż powiedzmy, że wysłałem do pisma X jakiś artykuł literacki, czy publicystyczny, z prośbą o odpowiedź, czy pismo materiał wykorzysta, bądź z zaznaczeniem, że brak odpowiedzi w ciągu określonego czasu, uważać będę za dezakceptację mego artykułu. Mogę czekać pewien czas, ale nie w nieskończoność, gdyż artykuł związany jest z jakimś bieżącym i omawianym zagadnieniem i wreszcie ulegnie dezaktualizowaniu i straci swoją wartość atrakcyjną. Nie ma przecież tyle papieru, by można drukować wszystko, co nie jest kiczem, czy bzdurą, drukuje się tylko rzeczy istotne. (Nawiasem mówiąc, to tylko piękna teoria).

Czekam. Czekam cierpliwie. Po dziesięciu dniach przychodzi list, lub też otrzymuję odpowiedź w redakcji: — Wydrukujemy.

— Dobrze! — myślę. — Zabiorę się do czegoś nowego.

Mija tydzień, dwa, trzy, miesiąc, dwa, trzy... Zaniepokojony piszę do redakcji lub udaję się osobiście „na

miejsce zbrodni”. Redaktor Q odpowiada że znużona miną:

— Nie wydrukujemy. Proszę, opanuj artykuł.

Zabieram artykuł i wychodzę. Nie mam nic do powiedzenia, ale czuję się pokrzywdzony. Redakcja przetrzymała mi artykuł, uniemożliwiając wykorzystanie go gdzie indziej. Artykuł nadaje się akurat do teczki, która w mojej szufladzie zatytułowana jest wdzięcznie: „Przeminęło z wiatrem”.

Nie wiem, czy to jest taka swoista etyka redakcyjna, czy też tylko lekceważenie młodego pisarza? Nie jest to zresztą żaden przypadek rekordowy. Proszę posłuchać:

Dostaję list z redakcji pewnego tygodnika z prośbą o stawienie się przed obliczem samego redaktora naczelnego. Przychodzę. Shake hand. Siadam.

— Proszę pana, pan jest członkiem Klubu Młodych przy Warszawskim Oddziale ZZLP?

— Owszem.

— Otóż chcemy wydrukować kolumnę poezji. Może będzie pan tak dobry i zbierze mi tego rodzaju materiały

— Proszę bardzo.

Za cztery dni przynoszę wiersze.

— Kiedy mam się zgłosić po odpowiedź?

— Pojutrze.

Po trzech dniach zjawiam się ponownie.

— Wydrukujemy wszystko.

Mija miesiąc, dwa, trzy, pół roku, rok... Redakcja jest widać zdania, że wiersze nie dezaktualizują się — mogą leżeć i czekać (autorzy też). W rocznicę przekazania wzmiankowanego wierszy, zjawiam się przypadkowo w redakcji. Upominam się o nie.

— Ach, wie pan, nie... nie skorzystały — i redaktor wyjmując z teczki owe poezje.

Zerkam na teczkę. Napis jak wół: „Do przejrzania”.

No, dajcie spokój, moi miłi, ale to już jest ostatecznie, zwyczajną granda! Właśnie tego rodzaju historyjki przytrafiają się moim koleżankom i kolegom bardzo często. Nie chodzi tu o to, że redakcja czegoś nie przyjmie. Jest to jej święte prawo odrzucić każdy materiał, jaki jej nie odpowiada — lecz to bynajmniej nie upoważnia do nabijania nikogo w butelkę. Jeśli nowelka związana była, np. z wrześniem i redakcja przegapiła termin, to tłumaczenie, że zamieszcza w przyszłym wrześniu jest zwyczajną bezcelnością.

Redakcje mają stopy materiałów, zalewają je pisarze i grafomani. Redakcje nie mogą odpowiadać na





WIEC, skoro zacząłem o tym mówić, zrobię panu pewne wyznaczenie:

Gdyby to była sprawa Andrzeja, gdyby Wolf naprowadził sobie na kark Gestapo w czasie swoich bytności w Krakowie, to proszę pana, to ja byłbym winien jego śmierci. Czuliśmy się winieni — rozumie pan?

Dlaczego? — Dlatego, że mieszkając o niecałe 6 kilometrów od majątku pani M. naznaczałem mu spotkania w mieście. Względem dy konspiracyjne, prawda.

Nigdy bym sobie tego nie mógł wybaczyć. Ale proszę szczerze roztrząsać przytoczone przeze mnie fakty, proszę przemyśleć moje przypuszczenia.

Wierzę, że mimo to, co ostatnio panu powiedziałem, byłem w moich rozważaniach zupełnie obiektywny.

#### ZEZNANIE SZAREGO

Podobno z wyglądu Szary przypomina trochę Wolfa. Nawet w sposobie mówienia ma być pewne podobieństwo. Byli serdecznymi przyjaciółmi i wiedzieli o sobie nawzajem bardzo dużo.

W usposobieniach, jednak, temperamentach, zainteresowaniach różnili się wyraźnie, stanowili pod wieloma względami zupełnie przeciwieństwo, jak twierdzą ci, którzy znali ich obydwu.

Patrząc na Szarego, wierzę, że tak zapewne było. Szary nie jest człowiekiem z jednej bryły i to bryły twardego, dźwięcznego metalu, jak to ponoć można było powiedzieć w odniesieniu do Wolfa.

Szary, używając nadal przenośni, odlany jest z jakiegoś stopu, dźwięczącego bardzo rozmaicie i trudnego do zanalizowania. Na pierwszy rzut oka robi wrażenie dzielnego, pełnego energii zawadiaki, takiego trochę prowincjonalnego d'Artagnan, z junackim wąsikiem, wystającą szczęką i pewną siebie miną. Ale ta powierzchowność myli.

Kiedy w czasie rozmowy Szary przerywa jakieś zdanie w połowie i uśmiecha się niepewnie, jak gdyby zawstydzony własną elokwencją, kiedy spuszcza oczy milczy bezradnie, albo tłumaczy się nieudolnie ze zbyt literackich, a może zbyt osobistych określeń, słuchacz odkrywa w nim naturę refleksyjną, wrażliwą, skłoną do wahań i wątpliwości i prawem kontrastu zaczyna podejrzewać, że ten domniemany muskietier, albo karbonariusz jest po prostu roman tykiem i niedołągą. Ale to też nie jest prawdą.

Matylda ocenia Szarego, jako dobrego, solidnego pracownika, nadrabiającego sumiennością i poczuciem odpowiedzialności pewne braki w dziedzinie praktycznego sprytu. Wydaje się, jakoby sam Szary zdawał sobie sprawę z owej dysproporcji pomiędzy swoim wyglądem i swoim usposobieniem. Jest to może przyczyną lekkiego zakłopotania, które towarzyszy wszystkim jego wypowiedziom. Czuje się, że z chęcią zrezygnowałby ze swoich intelektualistycznych skłonności na rzecz wąsatego muskietiera.

Ale na to za mało jest aktorem. Toteż wszelkie junactwa brzmią w jego ustach bardzo nieprzekonywująco. Poza tym Szary ma nieco inną skalę wartościowania rzeczy i faktów niż większość ludzi z „podziemia”. To co jemu wydaje się ważne, co jego frapuje i zastanawia, ma przeważnie daleki i okrzęny związek z jawną i oczywistą mechaniką wypadków. Widać, że zależy mu na tym, aby przekonać słuchacza, że i jego sposób pojmowania rzeczywistości ma swoje uzasadnienie, że jest może głębszy, ukazuje dalsze horyzonty ukrytych przyczyn, odleglejsze warstwy tajemnicy. Ale Szary boi się narzucać, boi się, że jego wywody zostaną przyjęte jako pokaz artystyczny - psychologicznej erudycji.

Z tych względów rozmowa z Szarym jest trudna, a światło, które rzuca na sprawę Wolfa, migotliwe i niepewne. Mimo to przy taczam zeznanie Szarego w całości traktując je, jako portret psychologiczny Wolfa.

Szary opowiada:

Kto i dlaczego zabił Wolfa? Tego ja panu nie powiem. Nie wiem. Okoliczności jego śmierci... to co można się było o tym dowiedzieć — to już panu opowiadano. Cóż więcej? — Kim był Wolf? Wśród jakich ludzi się obracał? Jeżeli to pana interesuje, mogę w tych sprawach udzielić dosyć dokładnych informacji. Wydaje mi się nawet, że może ja właśnie najlepiej wiem, jakim on był naprawdę. Znałem go... zaraz... zaraz... ile? — dwadzieścia lat. Mówiąc ściślej — poznawałem go dwadzieścia lat no i ostatecznie poznałem go, jak sądzę.

Wolf był moim zastępcą w ekspozyturze Matyldy. To znaczy, formalnie był moim zastępcą. W praktyce dzieliliśmy pracę i odpowiedzialność na równi i nasze kompetencje były identyczne. W gruncie rzeczy to nie jest istotne.

Przed wszystkim Wolf był moim przyjacielem i dlatego, proszę pana, jego śmierć ma dla mnie specjalne, bardzo przejmujące... tak, dotkliwie, osobiste znaczenie. Tym bardziej, że ta przyjaźń nie była łatwa. Nie powstała z nawyku, ani beztrzęsłego koleżeństwa.

Jeżeli panu naprawdę zależy, żeby dowiedzieć się czegoś o nim muszę zacząć od prehistorii naszych stosunków.

Byliśmy kolegami szkolnymi. W młodszym klasach, jeszcze jako mali chłopcy żyliśmy w doskonałej komitywie. Potem w piątej — o ile dobrze pamiętam — pokłóciliśmy się o jakieś głupstwo i z punktu zapanała między nami zaciekle nienawiść. Zabawne. Poczuliśmy do siebie wzajemnie tak wielką, niechęć, że nawet nie dochodziło do bójek między nami. W szkole zachowywaliśmy się tak, jakby jeden drugiego nie spostrzegał. Tymczasem antagonizm, początkowo niczym niezasadniony, narastał.

J. J. Szczepanski

## Przyczynki do Sprawy Wolfa

3

znajdował coraz solidniejsze podstawy. Romek... to znaczy Wolf miał zdolności matematyczne i ostentacyjnie okazywał lekceważenie wszelkim sprawom humanistycznym, malarstwu, poezji...

Mnie zdawało się, że jestem artystą... w tym wieku miewa się rozmaite urojenia. Tak. Nie lubiliśmy swoich umysłów, że tak powiem. No i co za tym idzie dobiegaliśmy sobie każdy innych przyjaciół, uwielbialiśmy, lub nienawidziliśmy innych profesorów, innych autorów, innych bohaterów narodowych.

Ale to wszystko były jeszcze głupstwa. Wkrótce legł między nami istotny kamień obrazy, wobec którego tamte irytujące przeciwieństwa zeszyły na drugi plan (choć nie stały się przez to mniej nieznosne).

Otóż, w chwili kiedy osiągnęliśmy wiek, w którym człowiek staje się obiektem godnym uwagi wszelkich „łowców partyjnego narybku”, Wolf zapisał się do „oeneru”. Ja nie miałem wtedy żadnych politycznych zainteresowań, ale z natury jestem... jakby to powiedzieć?... miękki. Tak, raczej miękki. Nie lubię stalowych schematów, nie lubię zbyt sztywnych konstrukcji, w których ludzie zamykają się jak w klatkach. Poza tym podróżowałem trochę, czytałem dużo, miewałem przyjaciół żydów. No i zawsze wrażliwy byłem zarówno na śmieszność, jak i na krzywdę. Kwestia temperamentu po prostu.

Dość na tym, że dla Wolfa byłem upostaciowaniem zgnilizny plutokratycznej masonerii i żydokomuny, podczas kiedy on wydawał mi się żalosnym specimenem faszystowskiego huligaństwa, drobnomieszczanek kołtunierii i jak się to tam jeszcze „technicznie” określa...

Nasza nienawiść zyskała konkretne, ideologiczne uzasadnienie i odtąd wzrastała niestannie.

W dodatku tak się zabawnie składało, że na każdym kroku mieliśmy sposobność do rywalizacji. Kolejno redagowaliśmy pismo szkolne, byliśmy równocześnie przybocznym w harcerekim drużynie, grywaliśmy na przeciw siebie w dwu futbolowych zespołach, ubiegaliśmy się o względy tej samej pensjonarki. Stopniowo cała klasa zaczęła brać udział w naszej walce.

Ten antagonizm przerodził się w rodzaj jakiegoś nieustannego turnieju, niepozabawionego zresztą pewnej rycerskiej etykiety.

Im bardziej niecierpieliśmy się, tym bardziej zalecało nam na naszej wzajemnej opinii o sobie. W gruncie rzeczy imponowaliśmy sobie potrochu i zazdrośni byliśmy o swoje pozycje liderów dwóch przeciwnych obozów.

Miałem już wtedy dużo szacunku dla charakteru Wolfa. Podziwiałem go i tym bardziej nie mogłem go znieść. Nie mogłem zrozumieć i przebaczyć jego fanatyzmu, jego nictolerancji, połączonych, jak u wię-

szości nacjonalistów ze skłonnością do technicznych i „naukowych” uzasadnień, do jakiegoś racjonalizmu a rebours, gdzie chłodny rachunek, logiczny dowód służą za wytłumaczenie nielogicznych i prymitywnych impulsów.

Przed samą maturą doszło u nas w klasie do wielkiej awantury, która poruszyła całe gimnazjum i oparła się o kuratora.

Przyczyną i ofiarą tej nieszczęsnej afery był Ludomir Silberminz, jedyny u nas żyd, chłopak cichy, nieśmiały, inteligentny i nadmiernie wrażliwy.

Sprawa była niesmaczna i zagmatwana. Obrażono w niej wzajemnie uczucia narodowe, użyto wielu wstydlivych i dramatycznie brzmiących słów, dopuszczono się nawet czynnej zniewagi. A najdziwniejsze, że agresorem (z punktu zresztą poskromionym przez Wolfa bardzo) był właśnie zahukany i delikatny Silberminz.

Przez całe lata znosił biedak z filozoficznym spokojem napaści i docinki kolegów — antysemitów, którzy zresztą lubili go na ogół i dokuczali mu jedynie ze względów programowych, aż wreszcie któregoś dnia przyszedł do szkoły w drażliwym nastroju

cy Ludomira. Przystanąłem speszony. Dostrzegł mnie i w chwili, gdy chciałem już zawrócić, zawołał mnie po imieniu. Przywitaliśmy się zakłopotani.

— Gdzie idziesz? — spytał.

— Do znajomych, — odparłem wymijająco.

— Chodź do mnie — rzekł głosem stanowczym i przyjaznym, — ja pracuję w jednej knajpie niedaleko stąd, na Łobzowskiej. Tam same swoje chłopaki, koledzy z politechniki.

Ujął mnie mocno za łokieć i poprowadził przez zadeszczony, mroczny rynek. Przez dłuższą chwilę szliśmy w milczeniu. Potem on odezwał się nagle: — pogódźmy się Józek, dobrze? Nie ma sensu gniewać się teraz. Uścisnęliśmy sobie ręce bardzo mocno i przyznam się panu, że byłem w tym momencie wzruszony...

Nie skłamię chyba twierdząc, że od tej chwili zaczęła się znowu nasza przyjaźń. Zaczęła się tak nagle, jak zaczęła się i skończyła nasza nienawiść. Nie pytając mnie o nic, Roman zafundował mi solidną kolację, wmuślił we mnie pożyczkę. Okazało się, że prócz pracy w barze, ma wiele innych źródeł dochodu. Handluje złotem, naprawia instalacje elektryczne, w ogóle radzi sobie z wielką energią i sprytem.

W czasie tej pierwszej rozmowy, spostrzegłem, że nosi krepę na rękawie.

— To po ojcu — rzekł. Jego okrągła twarz o szerokich szczękach i wypukłym czole, nabrzmiała nagle mnóstwem twardych węzłów; wesołe, szare oczy zwęziły się, stały się zimne, pełne gniewu i mocy. W jednej chwili z chłopaka, z dziecka niemal przeobraził się w mężczyznę, którego wola skupiona i świadoma promieniuje na zewnątrz z każdego rysu i gestu. Stracił ojca na jednym z owych szlaków, którymi tłumy uchodźców wędrowały na wschód we wrześniu, Niemcy zabili go w jego własnych ceczach, w oczach jego matki.

— Tak, moja matka patrzyła na to! — uderzył pięścią w stół, jak gdyby pieczętując nieuchronny wniosek z tego strasznego faktu.

— Ja się zeńszczę — powiedział bardzo spokojnie, ale z naciskiem, z którym wymawia się niektóre tylko w życiu zdania. — Teraz idą takie czasy, że o zemstę nie będzie trudno.

...Więc tak się ta nasza nowa znajomość zaczęła. Wiele jednak jeszcze czasu minęło, zanim zetknęliśmy się z sobą na trudnych ścieżkach konspiracji. Początkowo utrzymywaliśmy kontakt głównie „handlowy”.

Roman miał świetną głowę do interesów. Zawsze miał jakieś „chody” i „źródła”, które eksploatował jak gdyby od niechcenia, mimochodem, ale zawsze w właściwym momencie i zawsze z korzyścią. Jego to bawiło, że może spekulować, grać, jak doświadczony giełdziarz, znający się na najsubtelniejszych kaprysach koniunktury. Znać się na czymś — to była jego pasja. A druga, równie mocna, to było radzić sobie; samodzielnie i bez niczyjej pomocy.

Stałem się niejako filią jego interesów w miasteczku, w którym zamieszkałem. Pragnęliśmy obaj to nasze porozumienie rozszerzyć na inne sprawy — ważniejsze. Wprost szkoda było wzrastającego wciąż między nami zaufania na głupie ryzyko zwykłego szmuglu.

Ale nasze poglądy polityczne nadal były rozbieżne. Wolf pozostał nacjonalistą, ja nie zmieniłem się także. Poza tym poczucie lojalności żołnierskiej kazało mi pójść po linii apolitycznej roboty wojskowej. Konspirowaliśmy więc każdy na własną rękę.

Potem ja przeniosłem się na stałe do Krakowa. Romek od dawna porzucił już swoją knajpę i pracował w dużej firmie transportowej. Wystarał mi się tam o posadę. Teraz byliśmy ciągle razem. Mieliśmy okazję poznać się naprawdę.

Trudno mi wyrazić, jak wiele zawdzięczam Wolfowi, jak dużo mi dał w tym ciężkim i szarym okresie. Nie chcę tutaj rozwdzielić się nad moimi osobistymi przeżyciami z owego czasu. W każdym razie smutna by to była karta w moim życiu, gdybym nie miał wówczas Wolfa przy sobie, gdybym nie miał możliwości patrzeć na świat jego pogodnymi oczami. On miał jakąś taką właściwość, że w najbeznadziejniejszej biurowej harówce, w atmosferze największego zniechęcenia umiał wypatrzeć elementy zabawy, gry, emocji.

